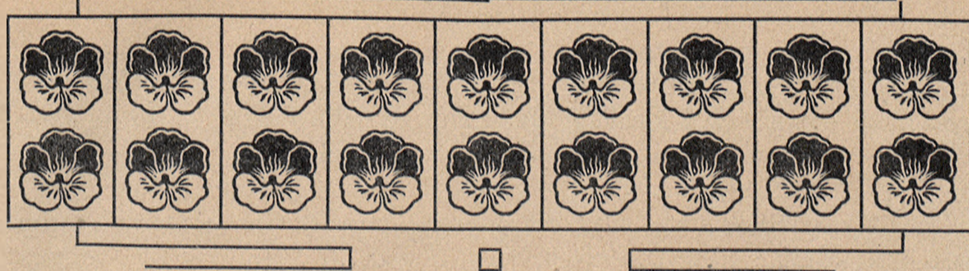


WYWIADY NAD POŁOŻENIEM ROBOTNIC W KRAKOWIE.

Modniarki.

Dla zaokrąglenia wywiadów nad położeniem robotnic żydowskich w Krakowie urządzonych w „Stow. Kobiet Pracujących“, podajemy jeszcze rezultat ankiety wśród modniarek.

I tu jak w poprzednich zawodach wyzysk sił i pracy pracownic niesłychany. Modniarki zaczynają również od tego, że są najpierw uczenicami. Nauka ta trwa zwykle 2 lata, a polega i tu na tem że dziewczyna taka używaną bywa do posyłek. Odnosi więc pudła z kapeluszami, załatwia ekspedycyę na poczcie a także w sprawach prywatnych nią się posługują. W wolnych od podobnych zajęć chwilach odbywa się nauka, zwykle poza sezonem. Podczas sezonu posługują się przeważnie uczenicami, których bywa zasze pokaźna liczba na czem naturalnie tracą pracownice kwalifikowane, nawet w sezonie mało płatne. Za te 2 lata „nauki“ a raczej ciężkiej pracy nie pobierają żadnej zapłaty. Po 2 latach dostają 4—8 kor. miesięcznie. Starsze, pracujące 4 – 6 lat dostają 12 – 16 kor. miesięcznie. Fatalnem nadto urządzeniem jest w magazynach modniarskich to, że czas pracy trwa 6 – 7 miesięcy w roku – a to z powodu sezonów, z ktorych letni trwa 3 – 4 miesięcy a zimowy 3 miesiące. Wtedy bowiem jest ruch w magazynach. Przez pozostałe miesiące – kiedy nie ma w magazynie pracy oddalają robotnice; bywają zatem bez zarobku po kilka miesięcy w roku, i nikt się o nie nie troszczy. Czas pracy w magazynach modniarskich – jest nominalnie 11-godzinny. Jednakże w sezonie prawie co dzień muszą pracownice pozostawać do 10 lub 11 godz. wieczorem z powodu nawału zajęć i małej ilości robotnic. Ponieważ jednak zarobek w magazynach nie wystarczyłby im na utrzymanie – muszą uzupełniać braki pracą nocną – biorąc od osób prywatnych robotę do domu

co jest nad wyraz męczące i dla zdrowia szkodliwe – zwłaszcza po ciężkiem przemęczeniu przez cały dzień. Znane są chyba każdej kobiecie sezony u modniarek i każda z nas zapewne miała sposobność przyglądać się tej strasznej i wyczerpującej pracy „panien“ z pracowni modniarskich podczas nastania sezonu. Przez kilkanaście godzin dziennie dziewczyna taka, od samego rana zatrudniona podawaniem pudeł z kapeluszami, usuwaniem niepotrzebnych, odnoszeniem do domu zawsze „pilnych“ zamówień, zmuszona to robić szybko i zręcznie aby gości zachęcić, przytem namawiać, przerabiać na prędce, co się nie podoba – a to wszystko z życiem, z uprzejmością, nie zdradzać znużenia choćby upadała pod niem. A dopiero kiedy kupujące są mniej liczne, taka wyczerpana ze zmęczenia dziewczyna zabiera się do „ubierania kapeluszy“ co trwa do późnej nocy. To wszystko za 5 do 16 najwyżej kor. miesięcznie!

Lokale służące do magazynów modniarskich są bardzo niehygieniczne. Są to zwykle sklepy z oknami od frontu w których odbywa się sprzedaż kapeluszy. Obok są ciemne nisze, służące za pracownię. Muszą więc pracownice tak w dzień jak i w nocy pracować przy oświetleniu zwykle gazowem. Szkody jakie czasem wyrządzają bywają odtrącane, zaś obchodzenie się pracodawczyń z robotnicami bywa przeważnie bezwzględne, często brutalne w najlepszym razie zupełnie obojętne.

Odżywianie się i stosunki domowe pozostawiają również dużo do życzenia. W czasie sezonu nie maja wcale czasu na rozrywki – jak i na czytanie lub naukę. Poza sezonem, płatne zostają wydalone i oczywiście pozostają bez żadnych środków do życia, o ile nie mają rodziny. Odpowiadające należą do kasy chorych gdzie połowę płaci pryncypałka. Ekspertki były wszystkie bardzo niezadowolone z obecnych stosunków; pragnęłyby zmiany na lepsze – i ufają że zdobędą ją drogą organizacyi.

Róża Gottliebówna.

„GŁOS KOBIETY“
W SPRAWIE ETYKI KLERYKALNEJ.

Ks. Henryk Bolcewicz – proboszcz parafii Zyrumny, powiatu Siedleckiego, guberni Wileńskiej, – w artykule swym, drukowanym w „Ogniwie“ (Warszawa), roku zeszłego, w nr. 21 i 22 p. t. „Pogromca Protestantyzmu“ wystąpił w imię prawdy i etyki, przeciw ks. Godlewskiemu, który na szpaltach kroniki rodzinnej, – polemizował ze Zwiastunem Ewangielickim, zarzucającym mu popełnienie plagiatu.

Następnie w nr. 37 i 41 tegoż „Ogniwa“, w artykułach: „W Imię Szczerości i Prawdy“ ks. Bolcewicz rozbierał broszury ks. Charszewskiego: „O rozumnej gorliwości kapłańskiej“. – Podnosił jej zalety

i zachęcał do samokrytyki we własnym obozie, w celu podniesienia poziomu moralnego i wyższego udoskonalenia się duchowieństwa katolickiego. Za tę swoją działalność publicystyczną, w ktorej autor, nie zaczepiał w niczem istoty wiary, ani dogmatów kościoła katolickiego, ks. Bolcewicz został potępiony i w czynnościach swoich kapłańskich zasuspendowany. Zainteresowanie się sprawą ks. Bolcewicza, nie ustaje dotąd, głosy niechętne mu, wciąż występują wrogo przeciw niemu (kraj petersburski, Rola). Pisał też o tem p. Jankowski w Kraju Petersburskim „Sprawiedliwy“ w „Niwie Polskiej“, zabierał w tem głos i „Przegląd tygodniowy“ i tygodnik „Głos“ obecnie zaś drukuje się w „Niwie Polskiej“ artykuł ks. Dzięcioła.

Głos mój, jest z kolei, odparciem zarzutów sformułowanych w liście pewnej bezimiennej osoby, drukowanym w Wileńskim „Wiestniku“, liście który z tego względu jest charakterystycznym, że streszcza zapatrywania i sądy koła konserwatywno-klerykalnego co do sprawy ks. Bolcewicza, a sądy te, obałamucają opinię publiczną, wprowadzając ją na ścieżki błędne, odległe od dróg postępu i prawdy. Sądzę zatem, że oświetlenie rzeczy z właściwego punktu widzenia, poddanie jej rozwadze ogółu – może być pożytecznem i pożądanem. *Kazimiera Ostachiewiczowa.*

„Biada śmiałkowi, który się o zdar-
„cie świętej maski i o utworzenie lu-
„dziom oczu pokusi“.
(Stary gawędziarz. Duchowieństwo a prasa“.)

Zdanie powyższe sprawdza się od wieków na tych wszystkich wielkich duchach, którzy pragnęli światła i postępu w jakiejkolwiekbądź dziedzinie ludzkiej myśli lub pracy. Nie uniknął też losu podobnego i ksiądz Bolcewicz, — chociaż stając w szranki szermierzy bojujących za prawdę, nie spodziewał się może, iż sprawa jego stanie się tak głośną i takiem echem współczucia i uznania odbije się w sercach wszystkich pokrewnych Mu duchów.

Fakt tego rozgłosu, nie tylko tem został spowodowany, że ks. Bolcewicz wypowiadał myśli zacne, szlachetne i podniosłe; ale głównie oburzeniem wywołanem, – wydanym na niego pod presyą zacofanego duchowieństwa wyrokiem a i my nie spodziewaliśmy się, że duchowieństwo nasze zajdzie w swym rutynizmie aż tak daleko, że liczyć się nie będzie, ani z postępem czasu, ani z prądem przeżywanej obecnie epoki, ani ze względem na to, iż szkodę mu tylko przynieść może — fakt takiego – średniowieczne czasy przypominającego nacisku moralnego, jakiego się względem księdza Bolcewicza dopuściło. Ktoby chciał na podstawie listu bezimiennego będącego wyrazem opinii koła konserwatywnego w Wilnie

sądzić o winie ks. Bolcewicza, mógłby być w swej opinii mocno zachwianym, tak głos ów koła konserwatywnego jest stronnym, cytaty nie zupełne, oświetlanie rzeczy błędne, a wywody nie wytrzymujące krytyki.

Nie śmiem pochlebiać sobie, aby uieudolne moje pióro, zdołało przekonać tych, którzy przekonanymi być nie chcą; ale może wyrazem ono będzie myśli i tych uczuć — jakie obudziła cała ta sprawa? Może mi się uda, ścisłej trzymając się prawdy rzecz w innem przedstawić świetle? a przedewszystkiem zaprotestować przez moje i wielu innych, równie jak ja wierzących osób usta, że poglądy i działalność ks. Bolcewicza znajdują odgłos nie tylko w obozie bezwyznaniowców, jak o tem się wyraził duchowny podpisany literami F. M. w Wileńskim wiestniku. Stoi za mną cały zastęp szczerze do katolicyzmu przywiązanych osób—katolików postępowych, gorąco pragnących aby stało się zadość wyrażonym w okólniku do biskupów — słowom Piusa X: „Przeto, ktoby pragnął mieć od „Nas jakie zawołanie, któreby dążność duszy naszej streszczało — to je„dno zawsze rzeczemy: „Naprawić wszystko w Chrystusie“. Wracam do listu. Wyrażone w nim jest zdziwienie, że ks. Bolcewicz umieścił artykuły swoje w piśmie wolnomyślnem. Niestety! Wolne myśli nie znajdują gościny gdzieindziej! Jedno z pism postępowych słusznie wyrzekło: „prasa opłacaną jest nie za to co mówi; ale za to o czem milczy“. a stary „Gawędziarz“ w swej broszurze· „Duchowieństwo a prasa stwierdził: „Że prasa konserwatywna płaszczy się przed nami przesadnie, albo milczy, my zaś wypowiemy to zdanie, że gdyby „Przegląd katolicki“, który wydał tak analogiczną duchem broszurę księdza Charszewskiego — udzielił był swoich szpalt chociażby dla artykułu księdza Bolcewicza, w Imię szczerości i prawdy, cała sprawa mogłaby zupełnie inny wziąć obrót. Być może, że byłoby lepiej ze względu na drażliwość duchowieństwa co do pism postępowych, aby myśli księdza Bolcewicza ukazały się były w broszurach; ale ze względu na ich mniejsze w takim razie rozpowszechninnie wśród ogółu, — byłoby to mniej pożądanem. W rozpatrywaniu pierwszych artykułów ks. Bolcewicza — cytaty, listu grzeszą szczególniej brakiem ścisłości i prawdy, — pomijając zupełnie przytaczane przez księdza Bolcewicza dowody i wygłaszając tak dziwnie zestawione poglądy, że nie można wierzyć aby one wyjść mogły z pod pióra istotnego chrześcijanina. Mianowicie podaną jest jedna tylko cytata z repliki księdza Godlewskiego danej Zwiastunowi: „Ja i w przyszłości nie z jednej pracy katolików niemieckich korzystać będą“. I następnie autor — czy autorka listu, — poucza, że przecież wszyscy uczeni korzystają z prac innych pisarzy i następnie tłómaczy: „co to jest plagjat?“ — a jednak są w replice ks. Godlewskiego inne, bardziej znamienne słowa — jak te. „Co p. Pastorowi do tego? (kto dzieło napisał). Doprawdy, dziwne pretensye. Pańską rzeczą jest dowieść,

żem nieprawdę napisał lub wydał, kto zaś jest jej autorem, co to pana może obchodzić?“ Otóż w tem właśnie jądro rzeczy, że ks. Godlewski taki plagjat popełnił, taki, o jakim poucza nas autor listu. Ks. Godlewski przetłómaczył bowiem dosłownie całe dzieło Schmitz'a i podpisał na tłómaczeniu swoje własne nazwisko jako autora, nie wzmiankując o tem, że dzieło jest przetłómaczone z języka niemieckiego, lub chociażby przerobione. Późniejsze jego w tej mierze zabiegi, aby chociaż od wydawców w Moguncyi uzyskać pozwolenie na przetłómaczenie i wydanie wspomnianego dzieła (gdyż Schmitz umarł w 1900 r.) rzeczy już nie naprawiają.

I jakże wobec tego mamy się zapatrywać na obronę ks. Godlewskiego podejmowaną przez przeciwników ks. Bolcewicza?

W dalszym ciągu autor listu dziwi się, że ks. Bolcewicz ujął się za przeciwnikiem niesłusznie i nieprzyzwoicie napastowanym. Czy to nie w myśl nauki Chrystusowej, postąpił on raczej? Czy nam, katolikom, należy — widząc napaść na kogo dowiadywać się wpierw, czy ów napadnięty nie jest broń Boże innowiercą, i dopiero wtedy spieszyć mu z pomocą, skoro się przekonamy, że jest on prawowiernym katolikiem? Ja się przyznam, że o podobnej etyce chrześcijańskiej nie miałam pojęcia, a tem bardziej to pojęcie nie da się zastosować w tym względzie, gdyż ks. Bolcewicz nie protestantów bronił, ani zasad ich wiary, ale walczył w imię prawdy gwałconej przez jednego z przedstawicieli kościoła katolickiego, który wstyd przynosił wyznawcom swoim. Tak, wstyd palił nam czoła, gdyśmy czytali tę dziwną polemikę, prowadzoną na szpaltach Kroniki Rodzinnej i Zwiastuna Ewangielickiego! Wstyd nam było, gdyśmy słyszeli Ewangielików twierdzących, iż nasi księża są na ogół tak ciemni, grubijańscy i nieetyczni, jakim się okazał ks. Godlewski, — i dopiero odezwa ks. Bolcewicza na łamach „Ogniwa“ (Pogromca protestantyzmu) pozwoliła nam podnieść czoło i stwierdzić, iż z całego serca solidaryzujemy się, ze szlachetnym i obywatelskim jego czynem.

W liście jaki omawiam, — gani się tylko z lekka — jedno wyrażenie ks. Godlewskiego z polemiki ze Zwiastunem, a mianowicie nazwanie wyznania protestanckiego: „niecną propagandą“. Wyrażenie to nie jest wcale odosobnionem w pominionej polemice. Czytamy tam: „Protestanci szerzą zgniliznę moralną“. (Nr. 5 kroniki za 1903 r.)d Dalej: „szerzą oni nienawiść imienia chrześcijańskiego“ (Nr. 3 kroniki za 1903 r.). Ale jakże się temu dziwić, skoro autor listu w dalszych swych wywodach, solidaryzuje się niejako z tymi określeniami, bronionego przez się ks. Godlewskiego, gdyż łączy w jedno tolerancyę dla propagandy: wyznaniem bowiem nie zaszczyca on wiary protestantów, pomimo iż powszechnie pisze się i mówi: „wyznanie mojżeszowe, wyznanie mahometańskie itp.“ z jakiemś mglistem określeniem niepochwalania fałszu, obłudy, rozpusty...

Czytamy w liście: „Posuwając za daleko uwzględnianie wszelkich błędnych teoryi, można dojść do absurdu w zasadzie, a w praktyce do tolerowania w imię swobody przekonań — wszelkich morderstw i zbrodni popełnianych dla idei“. Co znaczą, te słowa? Czy może ma się pod tem rozumieć teorye anarchistyczne? ale w takim razie, należało wypowiedzieć się jaśniej, bo inaczej słowa powyższe dziwne światło rzucają na istotną tolerancyę wyznawców religii rzymsko katolickiej, o której to tolerancyi tak często się głosi!

Oburzają się przeciwnicy ks. Bolcewicza, iż w artykułach swoich śmiał on twierdzić, iż za wiarą katolicką u nas, stoi tylko ciemny lud. Nie jest on jednak w tych sądach swych odosobnionym; ks. Charszewski w broszurze swej: O rozumnej gorliwości kapłańskiej, broszurze, wydanej przez „Przegląd katolicki“ i opatrzonej aprobatą biskupa Żółtowskiego pisze: „Lud już dojrzewa i przyjdzie czas, kiedy i chłop na plewy brać się nie da!“ Wszak przykład tego mamy na Śląsku, gdzie o działalności tamtejszego duchowieństwa katolickiego, pisze sam „Przegląd katolicki“ w Warszawie: „Postępowanie kleru niemieckiego z ludem polskim jest etyczną niegodziwością, pogwałceniem praw naturalnych i praw kościoła, a w swych następstwach zdrada katolicyzmu dla przysłużenia się państwu.

Słowa te stwierdzają, że słudzy kościoła nie zawsze używają broni właściwej skoro chcą przeprowadzić pewne idee i utrzymać swój autorytet; zatem jednak idzie, coraz dalej rozszerzające się uświadomienie mas.

Lecz to nie wstrzymuje duchowieństwa, które wciąż głosi: „iż wszelka władza pochodzi od Boga“. My jednak, w naszem dzisiejszem uświadomieniu otwarcie zaprzeczamy temu, trzymając się w tej wierze naszej — słów samego Chrystusa wyrzeczonych do Piłata: „Nie miałbyś żadnej mocy przeciw mnie, gdyby ci jej z wierzchu nie dano, przetoż który mię tobie wydał, większy grzech ma“. (Jan św. roz. XIX). Czy nie mamy rozumieć tego, iż wszelka władza dopuszczająca się niesprawiedliwości, błądzi i nie ma prawa powoływać się na władzę daną od Boga? I nie od Boga narzuconą też ona była przed wiekami Anglo-Sasom, gdy przez potoki krwi, zawładnął nimi Wilhelm Zdobywca, a Papież Aleksander II, któremu posłał dary ze zrabowanej krainy, uświęcił swą zgodą i błogosławieństwem ów najazd i gwałt!

I nie od Boga również pochodził ów autorytet duchowieństwa u nas, na Litwie, o którym pisał przed wiekiem Potocki (Liberalizm i obskurantyzm na Litwie, przez Chmielowskiego) iż dewizą jego było „zaślepiać, by rządzić, prześladować, by przekonać“.

Pora byłaby zerwać raz na zawsze z podobną taktyką. Despotyzm i tyrania nie mogą rządzić światem postępującym w imię idei Chrystuso-

wej ku dobru i prawdzie. Ludzie stanowili złe i okrutne prawa, a postęp w pochodzie swoim kasował i znosił kolejno te zabytki dzikości i nietolerancyi; chociaż nie doszedł on jeszcze do zniesienia wszystkich przeżytków ciemnoty średniowiecznej i do ustanowienia praw, dążących do ogólnego dobra i szczęścia ludzkości.

Pomawia sie księdza Bolcewicza o mijanie się z prawdą, gdy on pisze, iż na każdą myśl śmielszą, kościół urządza nagonkę; ale nie należy się oburzać, — raczej trzebaby zbadać rzecz u źródła.

Czy nie jest bowiem nagonką na popularyzacyę nauki naprzykład, gdy „Przegląd katolicki“ na szpaltach swoich zamieszcza: „Kilka uwag z powodu popularnej biblioteczki „Arcta“.

Nieumiejętne i bezkrytyczne wyśmiewanie naukowych teoryi, które jeszcze nie są skrystalizowane w pewnik, (bo nauka różnych szuka dróg, gdy probuje rozwiązać kwestyę powstawania życia), nie przystoją bynajmniej pismu poważnemu; chociaż i to już jest pewnym postępem, że w piśmie ultra katolickim, spotykamy rozbiór współczesnych naukowych teoryi. Należałoby się tylko krytykowi zaznajomić wpierw z najelementarniejszymi zasadami nauk przyrodniczych, przestudyować parę dzieł antropologicznych; wtedy może nie piorunowałby on na te: „dziesięciokopiejkowe „filozofie“, które według jego wyrażenia, tyle napsują, że tego i dziesięciotomowymi katechizmami i słownikami apolegietycznemi naprawić potem nic sposób!“ (Przeg. katol. Nr. 49. 1903). Ztąd też i kampania przeciw popularyzacyi wiedzy w Lublinie i po innych księgarniach w Królestwie, stąd zapowiedź bojkotowania księgarni u nas w Wilnie. Bo nieprawdą jest, aby w tej pielgrzymce, jedynie pornografię na względzie miało duchowieństwo. Dla moralnie i postępowo wychowanej młodzieży, pornografia małe ma znaczenie. U nas zaś potępiony jest i Żeromski: (Ludzie bezdomni). Nagonkę urządza się i na poezye Konopnickiej, (w dziełku ks. bis. Niedziałkowskiego: Dlaczego u nas nie śpiewają słowiki?) ten los jest udziałem i Świętochowskiego, ba! nawet Orzeszkowa z zastrzeżeniem jest tolerowaną! Czyż to nie nagonka na idee szerzone przez pisarzy i myślicieli?

A jednak... zastępy ich się mnożą, od krytyki nie jest wolnym wcale – sam obóz katolicki. I biskup Diacovaru Strossmayer (broniący również protestantów, lecz nie za to potępiony) i Ojciec Griesas (pomawiany o herezyą) i biskup Orleański Dupanloup, i ks. Królicki i ks. Loisy (porównywający naukę kościoła z Ewangelią) i biskupi z Albi i z Rouen stojący za nimi, i biskup z Nancy, nie wahający się wytoczyć procesu klasztornej instytucyi „Dobrego Pasterza“ i owych 5 arcybiskupów i 12 biskupów wysyłających z nim razem memoryał o tem do Rzymu... i wielu wielu innych, są to wszystko duchy wolne, dążące ku światłu i prawdzie,

a w swym pochodzie wstrzymywani przez prześladowania, oszczerstwa, posądzania o herezye i tym podobne praktyki nietolerancyi. A jednak idea niezawisłości myśli przebija się wciąż, z poza umyślnie gromadzonych mroków, aż wyłoni się kiedyś jasna i wielka jak słońce, a jak słusznie pisze ks. Charszewski w swej broszurze: „Choćbyśmy ze wszystkich sił, na słońce wiedzy dmuchali, nie zgasimy go, lecz go raczej rozdmuchamy silniej“ i to właśnie wyjaśnia nam rozgłos wywołany sprawą księdza Bolcewicza.

Ani krzykacz, ani człowiek, pyszny i lichy, za jakiego pragnie go podać partya konserwatywna, nie obudziłby tak żywej polemiki, nie z elektryzowałby tak opinii i nie przejawiłaby się ona w tylu dowodach sympatyi dla prześladowanego za swe idee kapłana.

Zarzucają ks. Bolcewiczowi brak miłości, ton gwałtowny i nawet brutalność wyrażeń! My zaś widzimy w jego słowach, druzgocącą przeciwnika logikę, silną argumentacyę i wiarę w głoszone zasady. A zresztą, przysłowie mówi: „Gołębica, i ta ma gniew“ a i Chrystus w świętem oburzeniu, powrózkiem kupczących, ze świątyni wyganiał.

C. d. n.

KONGRES W SPRAWIE OCHRONY PRACY W PRZEMYŚLE DOMOWYM.

Położenie robotników i robotnic zatrudnionych w przemyśle domowym.

„W przemyśle domowym panuje nie tylko najgorszy wyzysk, lecz spowodowana nim dzika walka wszystkich przeciw wszystkim. Sprzeczność systemu kapitalistycznego leży tu jak na dłoni: rodzice są wyzyskiwaczami dzieci, a te obniżają rodzicom płacę“. *Luiza Zietz.*

Cyfry poniżej podane, a oświetlające w sposób wcale niejaskrawy położenie robotników i robotnic zatrudnionych w przemyśle domowym dotyczą stosunków niemieckich. O stosunkach austryackich poinformować się można z trzech tomów sprawozdań inspektorów przemysłowych. (Die Heimarbeit in Österreich. Bericht der k. k. Gewerbe Inspektoren. Herausgegeben vom k. k. Handelsministerium in Wien. Stosunki galicyjskie omówiono w tomie III), lub ż książki Jakóba Reumana (Die Heimarbeit in Österreich) („Nowe Słowo“ umieściło w I. roczniku również artykuł o tych stosunkach.)

Według obliczeń urzędowych zajętych było w r. 1895 w Niemczech 402.406 osób w przemyśle domowym, z czego kobiet było 164.814. Jako główne zajęcie uważało pracę domową osób 342.511 (kobiet 154.604); 59.895 osób uważało pracę domową za zajęcie uboczne (kobiet 10.210). Cyfry te są nadzwyczaj niedokładne; złożyły się na to liczne przyczyny. Niejednokrotnie osoby zatrudnione w przemyśle domowym, a pochodzące z warstw średnich wstydzą się przyznać do pracy, która w ich oczach jest poniżeniem. Wielu robotników w tym przemyśle zajętych uważa się za ludzi samodzielnych, przedsiębiorcy dający pracę za pośrednictwem drobnych majstrów (pośredników) nie są wstanie wiedzieć, ilu robotników zatrudniają. Obawa przed zwiększeniem podatków nie przyczynia się też bardzo do podawania cyfr dokładnych. Śmiało można przyjąć, że około 700 tysięcy ludzi zajętych w Niemczech jest w przemyśle domowym.

W r. 1882 miało być w Niemczech 545 tysięcy chałupników. Od tego więc czasu zmniejszyła się ich liczba. Działo się to jednak tylko w tych gałęziach przemysłu, gdzie niesłychanie szybki rozwój techniki zdołał zapomocą niezwykle szybko pracujących maszyn wyrugować chałupników n. p. w przemyśle tkackim, rękawiczniczym, w produkcyi krawatek, kapeluszy słomkowych i t. d. zmniejszenie to ilości chałupników nie dotyczyło w równiej mierze kobiet i mężczyzn. Podczas gdy w przemyśle tkackim ilość chałupników od r. 1882—1895 o 43% się zmniejszyła, kobiet ubyło tylko 8%. Powodem tego jest zaciekła walka o byt jaką toczą kobiety, która im każe imać się nawet pracy skazanej na zagładę i opuszczonej przez robotnika.

Niejeden z ideologów społecznych patrząc na tę straszną ropiejącą ranę społeczeństwa, pociesza się myślą, iż tu chodzi tylko o ginący i podupadający sposób produkcyi, że wkrótce śladu nawet po nim nie będzie. Złudzenie! Praca domowa wzrasta nawet w całym szeregu gałęzi przemysłu jak n. p. w fabrykacyi zabawek, koronek, stolarstwie, koszykarstwie, w fabrykacyi tytoniu i t. d.

Od r. 1882—1895 przybyło w domowej fabrykacyi tytoniu 7200 osób, a w krawiectwie 41000. Cyfry te powinny być dostateczną odpowiedzią na wszelkie przypuszczenia, iż przemysł domowy sam przez się zaginie. Jakie zaś ten wzrost chałupnictwa niebezpieczeństwo przedstawia dla kobiet, wynika z tego, iż podczas gdy w r. 1882 na 100 osób zatrudnionych w przemyśle domowym 30 było kobiet, to w r. 1895 liczba ta wzrosła do 45. Liczba ta oświetla jeszcze jaskrawiej źródło pracy domowej, jeżeli przypomnę, iż w przemyśle fabrycznym na 100 osób tylko 18 kobiet przypada. Nie należy również zapominać o tem, że dzieci tych chałupników powróciwszy ze szkoły również pracują do późnej nieraz nocy by pomódz rodzicom. O wpływie tej pracy na skuteczność nauki

szkolnej mówiono na międzynarodowym kongresie w sprawie hygieny szkolnej: oto czyni ona daremnym wysiłek nauczyciela. W rozprawie „Praca dzieci“ (Lwów 1869 r.) mówi Ludwik Wołowski: „Jeden z angielskich poetów we wzniosłej swej mowie tak się wyraża: Dziecko jest ojcem człowieka! I rzeczywiście te czułe a wątłe istoty, kryją w sobie całą przyszłość społeczeństw; a od tego – w jaki sposób one będą wychowane, kształcone i obeznane z pracą, zawisło też, czy pokolenia przyszłe będą silne i odważne, oświecone i czynne, albo też słabe i znędzniałe. W dziecku więc spoczywa przyszłość społeczeństwa“.

Ten jednak tak ważny wzgląd dla społeczeństwa rozumnie się rządzącego nie ma żadnego znaczenia dla nędzarza, który kilkunasto-godzinną pracą przykuwającą jego i żonę do warsztatu, nie może zdobyć chleba. Przykuwa więc i dziecię, by i ono pracowało, aby powiększyć zarobek. Przypatrzmyż się tym zarobkom. Obraz zarobków chałupników nakreślić można według wyników badań towarzystwa socyalno-politycznego, dochodzeń komisyi dla statystyki robotniczej oraz szczegółowych danych dostarczonych przez organizacye zawodowe poszczególnych warstw robotniczych. I tak w konfekcyi zatrudnione domowe robotnice zarabiają najwyżej 480 kor. rocznie. Bardzo często tylko 240 lub 300 kor. Budżet tyle zarabiającej robotnicy jest następujący:

Zarobek tygodniowy wynosi 8 kor. 40 h. Pożywienie kosztuje ją 4 kor. 20 h. spanie (mieszkania niema, lecz tylko łóżko do spania) 1 kor. 90 h. Na wszelkie więc potrzeby pozostaje jej 2 kor. 30 h. Według zdania rzeczoznawców by wyżyć, musi robotnica zarabiać rocznie co najmniej 500 kor. Czem więc pokrywają tysiące pracownic stały deficyt? Przekonamy się później.

Przyglądnijmy się innym zawodom. Malarz malujący głowy lalek pracuje 15 godzin dziennie. Żona odnosi towar do przedsiębiorcy. Zarobek tygodniowy 18 kor. 80 h. W tym samym zawodzie pracująca 36 godzin tygodniowo robotnica zarabia 4 K. a druga pracująca wraz z matką 70 godzin zarabia 6 kor. na tydzień. Położenie tych robotnic okazuje się dopiero w pełni barw, gdy się zwróci uwagę na to, że często z zarobków swoich muszą pomódz rodzinie, której żywiciel niema pracy, a o ile mają dzieci, to i te utrzymywać muszą. Robotnice wyszywające bieliznę zarabiają przy całodziennej pracy dziennie 1 kor.

Rodziny wyplatające kosze zarabiają w Erfurcie 6 – 12 kor. tygodniowo. Praca trwa od godz. 5 z rana do 8 wieczór. Wyplatanie plecionek przynosi rodzinie pracującej tygodniowo 120 godz. do 10 kor.

A praca dzieci? W mieście Neheim pracują dzieci przy fabrykacyi gwoździków. Około 200 dzieci przymocowuje patentowane gwoździki

do guzików. Za przymocowanie 1000 (tysiąc) sztuk otrzymują 6—7 halerzy.

W Iserlohn istnieje domowa fabrykacya szpilek. Setki dzieci układa szpilki w pakieciki za zapłatę wynoszącą od 70 halerzy do 2 K. 20 h. tygodniowo.

Fabrykacya guzików istnieje w Schmölu, Frankenhausen, w Soonwald, koło Kreuznach. Znany badacz na polu pracy dzieci nauczyciel Agadh podaje informacye co do pracy dzieci w Schmölu. Otóż według niego pracuje 880 chłopców; do szkoły chodzących 336; a z 800 dziewcząt 350. Dzieci te w wieku od 7—14 lat pracują 4—8 godzin dziennie, zarabiając po 6 h. za godzinę.

Gdy przejdzie się szeregi długie cyfr, oświetlających to straszne wprost życie tysięcy robotnic i robotników narzuca się mimowoli pytanie: Jak żyją ci ludzie, jak mogą oni wyżyć. Kongres dał na to krótką odpowiedź. Deficyt pokrywa się przepracowaniem się, niedostatecznem odżywianiem się i oszczędzaniem na mieszkaniu i ubraniu oraz prostytucyą. W armii niemieckiej oblicza się koszta pożywienia żołnierza przez dzień na 1 kor. 20 h. Robotnica zajęta w przemyśle domowym wydaje 25—30 ct.

Robotnica niema własnego mieszkania. Wynajmuje kątem łóżko w dusznej, małej izdebce, w której mieszka kilka osób. Często dzieli łoże razem z towarzyszką pracy. Rodzina razem pracująca, nie jest natomiast pozbawioną rozkoszy ogniska domowego. W małej izdebce gotuje się, szyje, je i spi. W niej również pierze się bieliznę. Jest to idylla, o której żaden nie marzył poeta, a którą czasami wychwalają przeciwnicy pracy fabrycznej „która zabija indywidualność robotnika“. Tu kwitnie indywidualność... wśród brudów i zabijających wyziewów!

Jeżeli dążeniem robotników fabrycznych jest skrócenie czasu pracy, jeżeli wysiłkom ich zawdzięczać je należy, to w przemyśle domowym przepracowanie się robotników i robotnic domowych jest warunkiem istnienia tego przemysłu. Praca wydłuża się w nieskończoność, trwa bez przerwy 16—18 godzin dziennie, przykuwa do krzesła całą rodzinę na godzin kilkanaście, a i tak jej wyżywić nie może. „To jednak nie jest jeszcze najgorszem; najciemniejsza droga, na którą bicz nędzy wypędza te biedne męczennice, stoi wszystkim otworem. Gdzie sprzedaż siły roboczej niezapewnia robotnicy utrzymania, następuje sprzedaż jej ciała. Oto robotnice domowe, a zwłaszcza pracujące w konfekcyi w miastach wielkich—Paryż jest drastycznym tego przykładem— popadają w prostytucyę będącą „zarobkiem ubocznym“. Fakt ten jest równocześnie powodem dlaczego każda akcya zdążająca do usunięcia prostytucyi musi się skończyć niczem. Podstawy jej, nędzy, nie usuną kongresy, ani biadania

szlachetnych nawet ideologów. A jakie skutki tej pracy, jaki rezultat dla pracujących i społeczeństwa?

Jakie skutki sprowadza ta praca dla samych domowych robotników, jest rzeczą chyba jasną. Wystarczy się przypatrzeć zarobkom ich, aby skutki mieć jak na dłoni. Nędza straszniejsza o niebo całe aniżeli robotników fabrycznych, oraz jej nieodłączne towarzyszki: choroby, zdegenerowanie, zdemoralizowanie, upadek pod każdym względem. To też z zupełną słusznością uważać można pracę domową za jeden z tych kwiatów cywilizacyi współczesnej, przypominającej zgniłe trzęsawiska, z których czasami wykwitają zatrute kwiaty. Chałupnicy nie odżywiający się należycie, skupieni w małych dusznych lokalach, wyczerpani pracą, stają się podkładem wszelakich zaraźliwych chorób. Mieszkania ich stają się oranżeryami zarazków, bakcylii. I tu schodzi się interes konsumenta z interesem społecznym. W tych zarażonych pracowniach wyrabiają się wszelakie przedmioty, które przenoszą szczęśliwemu nabywcy zarody wszelakich chorób. Praca domowa jest więc rozsadnikiem suchot, tyfusów i t. d. Z tego powodu powinna być zwalczaną przez ludzi, którzy nawet nic wspólnego nie mają z interesami robotników. Ten wzgląd powinien skłonic państwo, jako instytucyę społeczną najwięcej sił mającą, by usunąć tego raka trawiącego współczesną cywilizacyę, jeżeli cywilizacya niema być w ustach rządów wogóle frazesem.

Bezpośrednie niebezpieczeństwo zagraża klasie robotniczej ze strony pracy domowej. Robotnik i robotnica fabryczna skupieni razem uczą się łatwo walki o podwyższenie płacy, o skrócenie czasu pracy, walki, która jest równocześnie walką o kulturę. Wyrabia się u nich poczucie solidarności klasowej, które prowadzi do zwycięstw. Organizacye zawodowe stają się organizacyami bojowemi, a strejk środkiem walki. Inaczej się ma rzecz z domowymi robotnikami. Rozdrobnieni, zdani na walkę o byt, w pojedynkę nie mogą się zorganizować, biorą każdą zapłatę jaka się tylko zdarzy, bo żyć muszą, przez co obniżają, w niesłychany wprost sposób płace fabrycznym zorganizowanym robotnikom i robotnicom. Temu stanowi rzeczy musi być położony kres tak w interesie samych robotników i robotnic zatrudnionych w przemyśle domowym, w interesie robotników fabrycznych oraz całego społeczeństwa konsumentów.

Dok. nast. *Karol Radek.*

KRONIKA.

R. Gerling: „Wolna miłość, czy dzisiejsze małżeństwo?“ („Freie Liebe oder Bürgerliche Ehe?“ Oranienburg 1904).

Dawno już nie czytałem książki, pisanej z takiem serdecznem uczuciem, z takiem przejęciem się poruszanemi tematami. jak powyższa książka p. Gerlinga,

w której tytule „Bürgerliche Ehe“ przełożyłem na polski „dzisiejsze małżeństwo“ albowiem dzisiejsza forma małżeństwa odpowiada właśnie temu, co Gerling wyraził przez trudny w tym wypadku do dosłownego tłómaczenia wyraz „bürgerlich“. Treścią, poruszanemi tematami i wnioskami książeczka ta przypomina bardzo omówioną już przezemnie książkę Carpentera: „Gdy ludzie dojrzeją do miłości“, lecz czyta się o wiele łatwiej i w krótkich, lecz silnych wyrazach, pełnych uczucia streszcza długie wywody Carpentera.

Gerling potępia dzisiejsze małżeństwo i jako ideał stawia „wolną miłość“. „Wolna miłość!“ Na sam dźwięk tych dwóch wyrazów zjawia się wyraz oburzenia na twarzy każdego „szanującego się“ i „bürgerlich“ czującego człowieka. I powiedziałbym, poniekąd słusznie. Umyślnie, czy też przez nieświadomość nadano tym wyrazom w potocznej „salonowej“ mowie znaczenie brudne. Czego się nie domyśla pod temi dwoma wyrazami! Rozpętanie wszystkich złych namiętności, poszarpanie najświętszych węzłów, splugawienie najwznioślejszych ludzkich uczuć – wszystko to zjawia się mimowoli w umyśle na dźwięk wyrazów: „wolna miłość!“

Tymczasem jestto jeden z wielu dowodów, jak często powtarzamy wyrazy zupełnie bezmyślnie, lub nadajemy im znaczenie, zupełnie nieodpowiadające właściwej ich treści. Jakież lepsze, właściwsze określenie można znaleźć dla wyrazu „miłość“ od wyrazu „wolna?“ Czyż miłość, uczucie, wysubtelnione szeregiem wieków kultury duchowej, nie musi być wolną, by pozostać w zupełności sobą?! Czyż pęta, nakładane na nią przez „bürgerliche“ paragrafy kodeksu, lub złote okowy, czy też innego rodzaju kajdany, nie rujnują samej istoty tego pojęcia!?

Gerling na początku zaraz mówi, że potępia dzisiejszy stan instytucyi małżeństwa i że za idealną jego formę uważa wolną miłość „tak jak on ją pojmuje“ (str. 4). Jakże on pojmuje wolną miłość? Tak, jak należy ją jedynie pojmować: małżeński związek jednego mężczyzny z jedną kobietą na podstawie uczucia miłości, więc uczucia, wolnego od jakichkolwiek względów ubocznej natury: pieniędzy, różnic klasowych, czy czasowych i t. p.

Interesująco rysuje autor różne stopnie rozwoju uczucia tego u zwierząt i u ludzi pierwotnych, rysuje pobieżnie lecz jasno. Rozwój poczucia, zniewalającego zwierzęta do wyboru tego a nie innego osobnika, początki takiego wyboru u człowieka pierwotnego, różne pobudki wyboru, wreszcie stopniowe wysubtelnianie się uczucia, przekształcenie się w to, co zwiemy dziś miłością, czyli w kłębek, niepoddających się prawie analizie uczuć – wszystko to Gerling krótko, lecz żywo omawia.

W XIII w. Sobór Tryencki postanowił, że za związek małżeński ma się uważać tylko związek, zawarty w obecności duchownego i dwu świadków, inne zaś za konkubinat; tym samym kościół wziął na siebie odpowiedzialność za losy instytucyi małżeństwa. Gerling zapytuje, czy kościół wywiązał się dobrze z tego zadania, czy instytucyę tę rozwinął i uszlachetnił? Na pytanie to odpowiada: nie! Chyba tylko przez utrudnianie rozwodów i przyczynianie się przez to do pogłębiania błota, w jakim tonie przeważnie dzisiejsze małżeństwo. A błoto to opisuje Gerling silnie: czytelnik pod wpływem słów jego przypomina sobie wnet cały szereg obrazów, widzianych w życiu. Jak trafnie np. określa on pewną kategoryę małżeństw przez wyraz: „Pflegerehen!“ Ileż takich „małżeństw dla pielęgnowania“ widzieć można na każdym prawie kroku! Podstarzały „Don Juan“, co to „z różnych pieców chleb jadał“... aż do zepsucia

sobie zdrowia, bierze sobie biedną żonę — siostrę miłosierdzia, chcąc mieć tkliwą opiekę i potrzebne dla zdrowia „regularne życie". Czegóż chcecie? Czyż nie daje jej za to utrzymania, „stanowisko w świecie", no i resztek uczuć, podobnych do tych uczuć, jakie się ma dla wiernego psa. Lecz niech ten pies spróbuje wyrywać się ze swego stanowiska, lub niech się okaże plamka na jego przeszłości — wnet otrzyma kopnięcie przy aprobacie ogólnej opinii. Doprawdy, dobre to określenie „pflegerehen".

Jaka droga prowadzi według Gerlinga, do tej idealnej „wolnej miłości?" Przedewszystkiem i słusznie — wychowanie mężczyzny! Wychowanie tego rodzaju, by uznał kobietę za równego – moim zdaniem nawet za lepszego – człowieka, którego krzywdzić, zniewalać i demoralizować nie wolno pod groźbą własnego i całej ludzkości skarlenia. Zniesienie podwójnej moralności w imię zasady czystości zarówno mężczyzny jak i kobiety aż do zawarcia związku małżeńskiego; dopuszczenie kobiet do odpowiednich dla nich (ze względów zdrowotnych) zajęć, ułatwienie rozwodów etc.

Może kto powie, że to marzenia o dalekiej przyszłości. Mnie się wydaje, że bardzo to radosny fakt, że z ust wielu już mężczyzn (Cerpenter, Gerling i inni) wyszły wyrazy „nostra culpa!" i może w niejednym, nawet nie z osobistej winy zabrudzonem sercu wzbudziły pragnienie tej „wolnej", czystej miłości.

Robotnice węgierskie. W lutym przeszłego roku delegatki kobiecych związków fachowych na Węgrzech postanowiły na konferencyi rozpocząć energiczną działalność w kierunku zorganizowania robotnic węgierskich w celu obrony przed wyzyskiem, jaki panuje we wszystkich prawie gałęziach przemysłu. Na Węgrzech można liczyć ogółem do $2^1/_2$ miliona robotnic: z tych 2.300000 zajętych na wsi, a resztę w przemyśle wielkomiejskim. Do dzisiejszego dnia zorganizowano z tej ogromnej liczby zaledwie 1629 w Peszcie i 141 na prowincyi, czyli razem 1770 robotnic.

Taka mała liczba tłómaczy się brakiem zdolnych agitatorek i zupełną nieświadomością, jaka panuje wśród węgierskich pracownic.

Kobiety w Tybecie. Według opisu pewnego rosyjskiego podróżnika (Cybikow) rajem dla kobiet pod względem położenia społecznego ma być Lassa, stołeczne miasto Tybetu. Dwie trzecie ludności, składającej się z 10000 osób, stanowią kobiety i w życiu publicznym mają ogromną przewagę; prawie niema zawodu, w którymby nie stanowiły większości kobiety a w urzędach i w handlu prawie tylko kobiety są zajęte.

Pisarki w kantorach loteryjnych w Wiedniu mają fatalne warunki pracy i marne bardzo wynagrodzenie, jak to widać z artykułu w „Arbeiterinnen Zeitung" (Nr. 9). Przeciętna płaca za 14-godzinną(!) pisaninę wynosi 12 – 15 złr. na miesiąc, a najwyższa 20 — 25 złr. Co już przechodzi wszelkie granice, to brak odpoczynku nawet w niedzielę! Niema mowy o ubezpieczeniu na starość, a w razie choroby otrzymują one 48 ct. dzienie. Przeważnie praca odbywa się w lokalach jak najtańszych, więc ciemnych i wilgotnych, wskutek czego spotykamy wśród tych pracownic często choroby oczu, reumatyzm itp. „Arbeiterinnen Zeitung" nawołuje pisarki loteryjne do organizowania się, jako jedynego środka obrony.

S. K.-K.

MAREJA.

(NOWELLA).

A. BELTRAMELLI.

W chłopięctwie znałem dwóch starych pasterzy: jeden był Ojum, a widział jeno sam cień słońca; drugi, starszy, był Anzul, a był ślepy od urodzenia. Ojum dostrzegał w przestrzeni błysk blado-złoty, na kształt wielkiej opony, nieruchomej a gładkiej, na której wahawe ruszały się cienie rzeczy; Anzul zaś słuchał ekstatycznie wszelakich głosów, a oczy zaszłe miał utkwione w głębiach nieba.

Co rano, o świcie, szli przez wydmy poważni dwaj bracia, kroczyli między wydmami a morzem ku wybrzeżu, co rozciąga się od kraju Porto do Cervii, obfitemu w pastwiska. Na wołanie Mareji unosili się z legowisk, gdy tylko zdala zamigotała gwiazda poranna.

Mareja szła przodem, torując drogę wśród piasków zamiatanych przez wiatry, pasterze szli za tupotem trzody, za nieznacznym śladem ostawionym w powietrzu, podobnym do szmeru fal podczas odpływu przed wejściem zorzy.

Słyszeli wielkie poszumy lotu od strony ławic piaszczystych opuszczonych przez wody; słyszeli jakiś odległy głos od strony niezmierzonego stepu, a gdy potem Ojum, podnosząc zaćmione źrenice, dostrzegał, jak rozpościera się magiczna opona koloru bladego bursztynu, po której migały i drzewa i ludzie i domy, jako nieznane upiorne istoty, to wołał na brata:

— Anzul, jest słońce! — i wówczas razem na starych fletniach wygrywali przydługi i rytmiczny dźwięk, który przywodził na pamięć spadek smętnych, staroświeckich tańców dolnej Romagnii i miłosną kantylenę marynarzy.

W ową porę po drżącej morskiej dali przemykały okręty siedmiu braciszków.

I owce stawały, żeby szczypać darń, a potem zdążały za wezwaniem przodowniczki, która szła przodem, krocząc za Mareją, dziewczyną, co oczy miała jak gołąbka.

Mareja Ojumowa była dziewicza i urodna, chowano ją niby klacz w zaroślach lasu, niby klacz, co nie zna spoczynku i nie zna powrozów, co gardzi drożynami i ulicami, na których są domy ludzkie i głębokie gościńce; gdzie rozlega się ryk bydła schylonego pod ciężarem losu; wychowano ją na brzegach mórz, gdzie przemykają głosy głębokie, głosy rzeczy wiekuistych, a ona wiedziała, jak śmiać się i śpiewać i żyć sło dko, a samotnie.

Mareja Ojumowa wiodła trzodę i ślepych ojców poprzez piaski rozżarzone, na sam kraj stepu i nad morze, ku pastwiskom Cervii uwieńczonej solą; a po drodze sznurowała grępią przeczesaną wełnę.

Otóż na kraju stepu stała starożytna studnia, naokoło której z latami wyrosły i rozrosły się wielce, sosny i dęby, że studnia stała w pośrodku wieńca zieleni; przeźrocza woda lśniła się w głębi, a u góry, dla wilgoci gruntu, rosły polne róże.

Wówczas, gdy wiosna dogasała na łonie lata płonącego; w miesiącach, w których gościńce jakby końca nie miały, ponieważ słońce umartwia ciało, pył oślepia a ćwierkanie świerszczy odurza zmysły, w tych, miesiącach, ludzie, których praca wiedzie pod słońce, nawiedzali studnię dla jej wód przeźroczych, tę wysepkę zieloną, sterczącą wpośród szarych piasków i tam kierowali swe kroki, ku odległej plamie, żeby znaleźć wywczasy południa.

I tak gromadzili się tam myśliwi, co oczy mieli czujne; żebracy t pielgrzymi, którzy idą za lotem chmur, ku dalekiemu miastu, boso, z workiem przewieszonym przez plecy, idą, żeby zakląć i wykląć swą boleść; oracze i drwale o szerokich piersiach. I tak przystawały tam trzody, zbite w milczące gromady i spokojne.

Mareja Ojumowa przychodziła tam z swymi ślepcami, tam ich za sobą ciągnęła. Stawali na kraju rozkosznego schroniska letniego, zwracając martwe oblicza ku niebu, i zdala już wołali pozdrowienia ludziskom, którzy się tam byli zebrali; potem siadali obok siebie i, oparci o pień sosny, słuchali, a nigdy się nie zaśmiali ani słowa nie rzekli.

Widziałem ich, lak nieruchomo tak siedzieli całemi godzinami, i ani słowa do nikogo nie rzekli.

Może słuchali bajania Piry d'Enma, która tłukła się wówczas po polach Romagnii, dźwigając cudowny jakowyś obraz i przyodziewek na sprzedaż. (Późną jesienią znaleziono ją nieżywą, na samym środku stepu, który był jedynem jej królestwem).

Pira d'Enma zjawiała się u studni koło południa; witali ją mali owczarze, którzy już na nią czekali. Ona zaś siadała w starem korycie do pojenia bydła i kąpała spiekłe wargi w przeźroczej wodzie, potem podnosiła nieco niebieskiej chusty, którą obwiązywała głowę na sposób cygański, a za której długiemi pasmami wychodziły siwe włosy, zwracała się ku zebranym i zwykłem przemawiała pytaniem:

— Nikt to z was nie chce świętego przyodziewku; który mu spocznie niby szczęście na sercu?

Ale na widok uśmiechu młodych, którzy wierzyli jeno w chleb i w śmierć sprawiedliwą, pochylała głowę i jęła szeptać pacierze.

— Pira d'Enma! — wołały dzieci, które wloką się po rozległych pastwiskach za śladem stadnin — Pira d'Enma, opowiedz nam historyę Lowa! Nuże, stara czarownico, nie zwłócz!

Ona uśmiechała się pobłażliwie, nie bacząc na natarczywość małych dzikusów, już skołatanych życiem, a rozkochanych jeszcze w wielkich marzeniach i opowiadała historyę o Lowie, który był przyjacielem słońca i wiatru i mógł pić wodę morską. O Lowie, który chodził z wędką na żaby i węgorze, z kosą stalową i czterema ropuchami przywiązanemi do włosów.

Mareja Ojumowa szła swojem natężonem spojrzeniem za tajemniczem powikłaniem legendy, leżała zaś rozciągnięta na trawie, głowę w dłonie ująwszy; a uroda jej była wielka dla oczu ludzkich, jako złoto żniw i rubieże niebios, co się pod słońcem rozsiewają.

Słuchała słów Piry w milczeniu, i kiedy stara włóczęga znowu podejmowała obraz i, kulejąc, ruszała ku szarym, rozciągłym stepom, to dziewka wstawała, wstrząsała włosy i zawoławszy na starych, odchodziła z swoją trzodą, ku piaskom.

Chodził wówczas do zacisznego schroniska, które stało między sośniną a morzem, oracz Jeso di Lenda. Był to chłop rosły i mocny jak bydlę. Twarz miał kanciastą, nos tępy i zadarty. Duszę miał krecią a siłę jak byk. Nie bardzo lubili go towarzysze znojów, a niewiasty nim gardziły i bały się go dla jego brutalnej gwałtowności; atoli Jesö kochał niewiasty tylko dla rozrywki i uciechy i wiedział, że chociaż gc nienawidziły, to opierać się mu nie śmiały, ponieważ bały się strasznej jego zemsty. Co południa Jeso di Lenda przychodził do studni; słońce go prażyło, a on szedł powolnym, leniwym krokiem, nie spiesząc się wcale, nie siląc się, bo mu snać letni żar wszelką wolę odbierał; potem siadał przy boku Mareji, patrzył na nią i tak siedział nieruchomo. Ona nie odwracała oczu; Jesö rozciągnięty na ziemi przemyśliwał nad swoim planem.

Pewnego razu rzekł do mnie Vinzadór, myśliwy.

— Mareja Ojumowa jest dumna, lecz sokół ma dziób zagięty!

— Myślisz, że wydoła? — zapytałem.

Vinzadór zmarszczył brwi i odpowiedział:

— Zbyt jest samotna na pustyni!

Minęło sporo czasu, lato konało w słodkich omdleniach jesieni; zachody złociły zielska pastewne i rozpościerały się po niebiosach, opóźniały się jakoby, żeby słodyczą przepoić oczy ludzkie. Wieczorami rozbrzmiewały śpiewy istot, które ugina i dręczy miłowanie, i przeciągały gościńcami wozy ciągnione przez woły, wozy idące od klepiska do klepiska i przenoszą cierlice, ponad któremi widniały niby korony białe konopie. I jeszcze południem schodzili się przy studni. Pira d' Enma także

i mali owczarze; atoli nie widać już było dziewki o oczach głębokich, Mareji.

– Jeso pewnie zrobił swoje! – rzekłem do Viuzadora.

Myśliwy spojrzał na niebo, pod którem, niby strzały, mknęły jaskółki i odrzekł:

– Nawet te jaskółki nie mkną z taką pewnością! — Potem dodał:

– Córka ślepca nie poprosi o pomoc, ale niech rzeknie słówko, a ja jej nóż mój rzucę pod stopy!

I zdarzyło się pod koniec jesieni, że Mareja Ojumowa przyszła pewnego dnia do studni. Widzieliśmy jak była zgnębiona, oczy miała zamglone, a jagody jej nie miały jnż kwiecia swej krwi.

Ślepcy szli za nią sztywnie, ukazując nieruchome wyrazy wybladłych swych twarzy.

Siedli na ziemi i oparli się o pniak. Mareja zaś przeszła koło nas z oczyma w dół spuszczonemi, ledwo nas witając.

Pira d'Enma zaczęła była bajanie, potem urwała, aby rzec, że ma podjąć daleką podróż w stronę gór zachodnich.

– Dokąd idziesz? – pytali stadnicy.

– Stara czarownico, oczy osmalone, dokąd idziesz?

– Idę tam dotąd, gdzie wiosna nie umiera, poza góry San Marino, dużo dalej, tam dotąd, gdzie jest drugie morze.

– Daleko to?

– Jak do Rzymu.

– Któż ci drogę pokaże?

– Jaskółki.

– Siewki ci pokażą! Osmalona gębo.

Stadnicy śmiali się piskliwie. Mareja Ojumowa miała dziwny blask w wielkich swoich oczach okolonych czarną obwódką.

Vinzadór szepnął mi, dygocąc, na ucho:

– Oto i Jesö di Lenda.

Odwróciłem się. Nadchodził od strony morza, powolnie i spokojnie, swoim obyczajem. Oblicze Mareji mieniło się.

Nadeszły godziny popołudniowe i drzewa w słońcu różowe były i złote.

W głębi, oparci o pniak, który wężowem roiskiem korzeni grążył się daleko w ziemi siedzieli obaj ślepcy, Ojum i Anzul, niemi pasterze, którzy kroczyli drogami piasków.

Mareja usiadła na trawie pod krzakiem polnej róży, oparła się torsem i głową na krawędzi studni i oczy opuściła. Płowe włosy opadały jej na obnażoną szyję białą, jak alabaster. Ręce jej opadły na łono, i była swoją bladością piękna, że Vinzadór nie mógł oczu od niej oderwać.

Jeso di Lenda wszedł do zielonego schroniska, które utworzyły drzewa naokoło studni, i stanął, żeby posłuchać co mówiła Pira d' Enma, potem zbliżył się do krawędzi studni i spoglądał, uśmiechnięty, na Mareję, która oczy miała spuszczone, a blada była jak trup i drżała na całem ciele.

Vinzadór zawołał głosem zduszonym i błagalnym:

– Chryste!... dobry dziś dzień dla ciebie, Jeso di Lenda.

Chłop, który duszę miał krecią, powiódł oczyma wokoło; potem, pochyliwszy się nieco ku Mareji, zapytał głośno, żeby go wszyscy słyszeli:

– Jakże ci, owieczko moja?

Vinzadór zerwał się, lecz dziewuszka łagodna powstała nagle i widziałem – jak się jej naraz zakrwawiły oczy i jak jej posiniała twarz umartwiona. Przegięła się i krzyknęła raz, dziesięć razy, skurczyła się strasznie, że się jej lica do niepoznania zmieniły. Szyję napowrót wyciągnęła, usta skurczyła, że zadrżeli wszyscy, co tu byli:

– Podły!... podły!... podły!...

Naokół nastało milczenie; obaj ślepcy powstali byli i postąpili naprzód chwiejnym krokiem; jeden się tylko Jesö jeszcze uśmiechał.

Vinzadór, cały roztrzęsiony, rzucił się ku dziewczynie i zaryczał:

– Marejo Ojumowa, córko ślepca, na duszę twego Chrysta, bierz!

I rzucił jej pod nogi lśniący nóż. A Mareja, urodziwa dziewka, głowę opuściła i zapłakała, potem podniosła nóż i podała go Vinzadorowi.

– Nie chcesz – to? – zapytał myśliwy.

Cicho szepnęła:

– Nie!

Potem podała ręce ślepcom, którzy podwlekli się tu z trudem.

– Córko? Marejo? Cóżeś uczyniła?

Dziewczyna nie odrzekła, oddaliła się wśród zmierzchu padającego, a Jesö di Lenda nie odważył się na słówko.

Dok. n.

AKROPOLIS.

III.

Ta rzeczywistość wawelska tedy inaczej przedstawia się jak dawniej. Trzeba się trzymać tej rzeczywistości. Powiedziano, że nic się w tej katedrze nie zmieniło, lecz to niedokładne: na miejscu trumny króluje teraz Apollon. Ta rzeczywistość wawelska stoi oto jako zdarzenie, które stało się, a którego tajemnicy nikt nie odgadnie, kto jej nie poszuka i nie wysłucha w jej własnej

istocie. Jakie jest następstwo zdarzeń, które do tego stanu dawnego doprowadziły? Dopiero bowiem odnalazłszy tę logikę, można poznać właściwego ducha i właściwą myśl tego zdarzenia. W „Akropolis“ przedstawia się ta rzeczywistość wedle następstwa i związku logicznego, które stwarza swoją pieśnią Harfiarz. W jego pieśni myśl wawelską śledzić można od najdalszych początków aż do obecnej chwili, cała się mieści w murach katedry. Tensam duch, który dawnymi czasy mury te wzniósł i wewnątrz je tak nie inaczej przyozdobił, musi działać i dzisiaj. Lecz się dzisiaj zmienił. Działał dawniej jakby bezwiednie, dziś z całą świadomością, która się przez lata i stulecia rozszerzała. Wzbogacony życiem wieków staje znowu przed temsamem zdarzeniem i raz jeszcze mury te wznosi dla swej siedziby.

Jeżeli ludzie żyją na jakiejś ziemi, jeżeli dzieła jakoweś stoją na pewnym gruncie, to między ludźmi tymi, dziełami i gruntem musi ścisły zachodzić związek. Inaczej bowiem nie żyją. (Artysta n. p. który tworzy ludzi niezwiązanych z gruntem często zasłania się prawdą: „ci ludzie, których tworzy, nie są związani z gruntem“. Lecz w takim razie, dlaczego ich tworzyć? Tworzyć traci tu znaczenie wszelkie, owe twory nie żyją. Rzeczy bowiem żyją, o ile związane są z gruntem. Takie jest prawo artyzmu i stylu. Grunt zaś wskazuje właściwości ludzi i wypadków, ich charakter, ich odrębność. Artysta, który tego nie czuje, który tej myśli niema, przejęty upodobaniem swej epoki, wymyśla ludzi i w nich swoją epokę maluje. Sam z gruntu nie wyszedł. Lecz ci ludzie żyją tylko chwilę. Minie epoka, minęło ich życie, tkwili nie w gruncie, a w atmosferze. Można ich zrozumieć przy pomocy rekonstrukcyi historycznej, czy archeologicznej, trzeba ich atmosferę zbadać. Atmosfera rozwiewa się szybko. Grunt się nie zmienia i zawsze jedne owoce wydaje, które atmosfera inaczej jeno zabarwia. Otóż, ten związek istnieje zawsze, czy ludzie o nim wiedzą czy nie wiedzą. Gnani nieznaną mocą, którą nazwali to Apollinem, to Duchem, działali bezwiednie. Lecz rzeczy bardziej naturalnym idą torem. Świadomość rozszerza się, a ludzie z biegiem wieków istotę swoją pojmują i świadomie działają: ustanawiają między swem działaniem a otoczeniem związek widoczny i ścisły. Owa myśl wawelska zawsze w tym gruncie tkwiła i we wszystkich poszczególnych tu rzeczach, chociaż dawni poeci jej nie widzieli. Z wejściem Harfiarza myśl ta uświadamia się. Powiedziano poprzednio, że to dramat artyzmu, lecz to zbyt ogólne: jest to dramat świadomej myśli wawelskiej, której jednolitość sięga dalekich i zamierzchłych początków, a która teraz raz jeszcze po wiekach ku tymsamym celom dąży. W dramacie zbiorowym — Wyspiański jest twórcą dramatu zbiorowego — świadomość rozdziela się nierówno. Poszczególne istoty, którym nagle cel powszechny wskazano, dążą zgodnie ku temu celowi zakreślonemu świadomością Harfiarza. Ten ostatni szczebel świadomości obejmuje wszystkie zakresy. Na gruncie wawelskim mogą znajdować się jedynie istoty, w których oczach, ruchach i słowach maluje się myśl jedna: Zmartwychwstanie. Każde ich poruszenie musi zdążać ku utworzeniu razem z innemi tu dziełami całości spoistej. Te gobeliny, te posągi, mogą znajdować się na innem miejscu, na innym obszarze, a będą oznaczać tosamo, dzieła sztuki swe piękno ukażą wszędzie? Wyspiański powiada, że nie. Dzieła te są tu, i cokolwiek się zdarzy, swoje przeznaczenie spełnić muszą tutaj. Artyści, którzy je na tym gruncie ustawili, nie rozumieli ich, nie myśleli, to widoczne, nie mieli w sobie tego gruntu, myśleli myślą swej epoki. która miała swe upodobania, zachcianki, lecz to wszystko minęło, zjawienia chwili. Podobni do własnych tworów, mieli

świadomość szczupłą, osobistą świadomość jednej chwili. Możnaby o nich powiedzieć, że nie mieli poczucia dekoracyjnego, lecz to poczucie w dzisiejszych dopiero jawi się czasach, świadome. Albo, że nie rozumieli dramatu zbiorowego. Nie ich to było rzeczą. Czem był ich styl? Był stylem epoki, w której żyli, wyrazem upodobania tej chwili do pewnych przedmiotów ułożonych w taki sposób, który nazwano pięknym. Pięknym? A duch? wołają te istoty nocą i mówią, że są inne. Wspólna je sprawa zmieniła. Upodobania mijają, zostaje jeno wspomnienie. Upodobania nie żyją. Wyspiański powiada, że żyć mogą, tylko należy je powiązać z innemi chwilami zapomocą wspólnej sprawy. Te twory rozmaitych epok i stylów mówią teraz wedle swej swobody, mówią językiem swego otoczenia własnego, lecz ton się ich zmienił. Mówią bowiem i językiem sprawy, obecnym. Odtąd te twory, związane z gruntem, żyją na zawsze, ujęte stylem czyli duchem tego gruntu. Wyspiański uczynił to już dawniej z epoką, w której żyjemy (np. „Wesele"), teraz to samo z epokami minionemi. Różnica zatem jest znaczna, polega na rozszerzeniu świadomości, tamci poeci byli cząstką swej epoki i odurzeni atmosferą szli z nią razem, nie wiedząc, dokąd, każdy własną drogą — a oni wszyscy i wypadki wszystkie działy się w jakiejś świadomości, która sens ich rozumiała. Oni swej epoki nie rozumieli, Wyspiański swoją epokę, więc wszystkie epoki, rozumie — odkrył w niej związek z przeszłością, z gruntem. Zrozumieć epokę, znaczy napisać dramat zbiorowy. Dramat zbiorowy, to taki, którego zdarzenia nigdy się nie stały, a dzieją się zawsze na tym gruncie. Pojąć łatwo wobec tego, dlaczego Noc jest chwilą ich życia. Wszystkie niemal dramaty zbiorowe Wyspiańskiego, to dzieje jednej nocy. Zdarzenia te bowiem dzieją się w duszy, w gruncie, z którego na dzień się wydzierają. Lecz tam, na dniu, zaskoczy je rzecz nieprzewidziana: cel, do którego dążyły, usuną wypadki dnia. Raz tem, że nie zajdą wcale, jak w „Weselu", raz, że zajdą zupełnie inne, nieprzewidziane.

Czem różnią się dawne dramaty od tego dramatu? Ten świat wawelski, podobnie jak homerowy, był dotychczas eposem luźnym, którego postaci znalazły się, jak u Homera, na jednym gruncie, ale niewiadomo, co ich szczególnego łączy. Ten świat jest Akropolisem, czekającym na nową myśl, która go na Wawel przemieni. Czeka na myśl wawelską. Był dawniej przedmiotem pieśni i studyów i badań, lecz nie miał myśli, któraby go mocno spajała. Opisywano szczegóły, rzecby można pisano dramaty na temat poszczególnych rzeczy, dramaty, w których niezmiennem zawsze tłem był Wawel. Lecz związek był luźnie zaznaczony, żmudny. Poeci, uczeni, badacze opisywali, co widzieli i jak widzieli, nie bacząc na chwilę. Nie umieli wybierać, zajmowały ich sprawy jednostek, jakieś ułożenie figur, w którem znaczenie odkryć można dowolne, stosownie właśnie do upodobań swojej epoki. Wyspiański wybrał chwilę, w której wszystkie tu nagromadzone rzeczy tworzą żywą całość: chwilę obecną: Noc zmartwychwstania. Pod wpływem tej chwili istoty tu zebrane wymykają się z więzów nałożonych im przez dawnych poetów i działają swobodnie. Swoboda im ta nie wadzi, nie uczynią nic innego ponadto, co uczyniły dawniej, lecz to uczynią z ducha, świadomie. Są to istoty tesame i inne równocześnie. Obdarzone podwójną rzeczywistością swej epoki i gruntu, na którym stoją, obdarzone duchem.

Powiedziano o nich poprzednio, że niechętnie tu zadanie swe spełniają: zadanie ciasne, ozdoby grobów, kultu umarłych. „Umarli — nie powstaną" mówi Klio z monumentu Sołtyka. Klio duma klasycznie nad historyą, takie jej zada-

nie, lecz tej nocy zapomina o dawnej mowie, a mówi teraz o historyi żywej, o przeszłości, która wciąż żyje w odradzającej się obecności. Jednem słowem, wszystkie te twory są za dnia sługami Apollina, ciasno pojętego, nienaturalnego. Odrobina życia (natury) rozsadza ich konwencyonalną oschłość i ograniczoność. Apollon ukazuje się w nich żywym i szerokim. Zaczynają od wiekami uświęconych, tradycyjnych słów, wskazujących na cel, dla którego tu stoją. Mówią, co im mówić kazano. Nie są to istoty całe, rozłegłe, lecz obrazy. Można je zrozumieć natychmiast; artyści owi mieli, rzeźbiąc, na myśli półbogów, bohaterów, piękne pozy. Pod wpływem jednak chwili i miejsca przeobraziły się: są to ludzie, naturalni, cali, więc zewsząd tajemnicą otoczeni. Anioły, Niewiasta*), Amor, Pani, Panna, Klio, Włodzimierz Potocki, wszyscy oni na dniu noszą piętno jednej epoki, niebaczni na miejsce, na którem się znajdują. I na chwilę, na noc Zmartwychwstania, w której rzeczy inne mają znaczenie. Dopiero nocą słowa Klio „My jedne nieśmiertelne duchem“ mają znaczenie. Mówiono o nich przez wieki, że są piękni, a to ludzie, których nijak ująć nie można. Spełniają zadanie użyteczne i razem się odeń uchylają daleko. Kto ich tu zaklął: Apollon. Widać tu tedy tensam stosunek do tych tworów z kamienia co w dwóch środkowych aktach do postaci z Iliady i z Biblii. Wprowadzono naturę. Utwory owych artystów były znakami, o uświęconem, jedynem, utylitarnem znaczeniu, toteż na tych znakach tego wszystkiego, co mówią tej nocy, niema, ale jest w nich samych, w tej nocy, w rzeczywistości. Dowiadujemy się od nich, że nocą żyją życiem szerokiem, życiem ducha. Noc i dzień są Wyspiańskiego najszerszem dramatycznem splątaniem, w którem biorą udział wszystkie moce zbiorowe ziemi i nieba. Wieki minione znalazły dla tych pojęć znaki odwieczne, lecz to były pojęcia i znaki. U Wyspiańskiego są to rzeczy: noc nadwiślańska, krakowska: występują naturalne, całe, owe zaś znaki: Apollon, Noc, Jutrzenka, Eumenidy są koniecznymi pierwiastkami stylu. Zważyć jeno trzeba, jak bardzo się od tamtych różnią: żyją całe, nie są jeno znakami, które zjawieniem się swojem w dziele mają coś oznaczać, lecz są splątane ze sprawami, działają, czują, myślą, są poprostu dramatyczne, ulegają losom niezmiennym, giną i zmartwychwstają.

Między rzeczami a otoczeniem nocą najwyraźniej jawi się związek nieprzewidziany i głęboki. Noc usuwa zarysy i kształty wyraźne. W tym fatalnym ubiegu nocy rzeczy znowu wykłuwają się z ziemi i jawią się całe rano, jak wówczas, gdy po raz pierwszy powstały. Nad rzeką, po polach, w borach i w czeluściach kryją się te moce nocne, osoby dramatu przyrody (krakowskiej), melodye, wydzierające się z ziemi. Dzień, Apollon, z całym orszakiem, który go wyprzedza („Jutrzenka“ w rysunku do Iliady ma figury, ktore w legendach tutejszych mają swoje nazwania), wydaje się zakończeniem tajemniczego dramatu, który się tu nocą odbył, a którego następstwem jest ten obraz ostateczny, dzienny: gmachy naokół, ludzie z takiem nie innem spojrzeniem, zachowaniem się i działaniem. Na końcu tego dramatu zjawia się dawny stan rzeczy nienaruszony, jako wytwór tej właśnie, dzisiejszej nocy. Te gmachy, wieże, te powiązania rzeczy, ci ludzie wszyscy, jakby dziś na nowo powstali, żyją więc ciągle. Historya żyje w ten sposób, co noc się te rzeczy powtarzają.

---

*) O tej figurze napisano bałamutnie w ust. I, niezgodnie z tekstem. Należy owe zdania wypuścić.

Można tu znowu porównywać: poeci i uczeni opisują te rzeczy za dnia, w oświetleniu dziennem, czy noc mają na myśli czy co innego, a wówczas te rzeczy ukazują się w uświęconem, tradycyjnem znaczeniu — raczej bez znaczenia. Opisują, co widzą, lecz nie opisują rzeczywistości, nie dają natury. Rzeczy naturalnie opisane, a więc mówiące przez się, same, są szerokie; nie jeno jakąś rolę odgrywają, narzuconą im przez poetę, uczonego, rzeźbiarza, ale się z niej właśnie wyłamują na swobodę. Ludzie czy twory sztuki – wszystko spojone z otoczeniem i wzajem na się oddziaływa. Krajobraz kształtuje im duszę (naodwrót, ich dusza, to ta ziemia): dziełom sztuki i ludziom. Wprowadzić w te martwe twory natur: oto zadanie i dzieło Wyspiańskiego. Gdy żyją na gruncie wawelskim, to od tego gruntu biorą ducha, mogą zaś przybywać ze stron jak najdalszych na to miejsce. Za dnia widać tę jednostkową ich wyłącznie, ciasną istotę, mocą ktorej taki twór oderwanym jest przedmiotem muzealnym. O pomniku np. Włodz. Potockiego piszą, że „pogańsko piękne kształty nie licują z miejscem“. Miasto go usunąć, jak ową trumnę, która tu jest naczelnym znakiem kultu umarłych, nie życia, Wyspiański wiąże go z miejscem, z gruntem.

Widoczna tedy, że dramat tkwi w tych posągach, ich kształt wyszedł z dramatu. Wiemy, że to istoty żywe, ale ujęte codziennem martwem życiem, jak wszystko za dnia. Są zakończeniem dramatu, który się tu nocą rozegrał, jest zatem przyczyna szeroka, dla której tu stoją. Nocą były wolne, mogły ujść, lecz duch nie dozwolił, właśnie ich do tego zawiódł, a one świadomie poddały się mu. Duch tutejszy, tego gruntu. Te posągi (podobnie jak tamte gobeliny, w które poeta naturę wprowadził) są rezultatem widocznym dla wszystkich, faktem nietykalnym, który teraz ma uzasadnienie, podobnież rysy twarzy, fizyczne podobieństwo osoby portretowanej dla malarza myślącego ma swoje uzasadnienie w duchu, w ziemi, na której ta osoba żyje, a od której oderwana ginie, jest martwa (może jeno być obrazem, ale takie obrazy niepotrzebne). Dusza, to ziemia, przeszłość i noc, jednem słowem dramat. Dramat tak pojęty jest dramatem zbiorowym, w którym osoby działające, to jednostki, naród cały i cała ziemia; końcowy obraz dramatu jest wynikiem tego dramatycznego, świadomego dążenia to tego właśnie, nie innego stanu. Duch tak chciał i te twory, cokolwiekby zaszło, zawsze postąpią taksamo. Katedra cała w ten sposób ukazuje się jako dzieło świadomej myśli Harfiarza, ducha, którego wolą stanęło.

I rzekłeś, Panie: powstań w czynie,
powstań we wspaniałości,
nad miasta górą wznieś świątynię,
niech Duch mój w niej zagości.

I otom Tobie wzniósł gontynę
ze wszystkich kruszców ziemie... (str. 146).

Tak więc ta katedra wawelska stanęła tej nocy, dramatycznie duch ku niej dążył, jest nieodzowna na tej ziemi. Co mówią o tej katedrze ludzie: uczeni, poeci, turyści, że jest piękna, wspaniała, uświęcone słowa tradycyjne, że są tam groby królów, że, wedle wyrażenia dość powszechnego, ostatnia to wspaniała karta historyi. Dlaczego? Nieco natury w te martwe słowa bez znaczenia. Otóż więc katedra teraz mówi sama. Ludzie powtarzają jej legendę, jej obraz martwy, nie widzą jej samej, nie widzą, jakie jej znaczenie, jej myśl, jej poezya. Natura

wprowadzona w legendę, to życie, które krwią wpływa w marmur, w martwe twory. Oczywiście, że dla okazania tej myśli nie wszystkie tu przedmioty można zebrać, trzeba wybrać, jak to uczynił Wyspiański z zasobu rzeczy mnóstwa.

„Noc przewalczona", woła Harfiarz. Teraz i dzień obaczy, że katedra ta żyje ciągle, lecz, że się w niej kult umarłych święci, gdy tam żywi nocą żyją pełnem życiem, obecnem, nie oddają się umarłym, jak im kazano, zapominają i idą na swobodę. Przemożona jest śmierć. Możnaby tu przywieźć cały szereg określeń, lecz się one same już zapadły wobec dzieła Wyspiańskiego, który życie Wawelu ukazał, gdy dla innych to grób. Nie są te określenia z pośród piękniejszych w książkach i umysłach polskich.

W książkach i umysłach Wawel jest tłem, dekoracyą, znakiem; w dziele Wyspiańskiego jest sprawą tajemniczą i jej to dramatem jest „Akropolis". Po „nocy przewalczonej" ukazuje się Wawel jak jest, dzieło ducha, który w nim mieszka, świadome i nieodzowne. A więc dramat przeto nadewszystko zbiorowy, sprawa, z którą wiążą się wszystkie tu zebrane żywe istoty tak lub inaczej; mają znaczenie jednostkowe (jednej epoki, luźne) i powszechne (wszystkich czasów, spojone), są wolne i niewolne, wszechstronne, wiążą się z Wawelem, zmartwychwstaniem i życiem. W dalszem powiązaniu w takim dramacie bierze udział cała ziemia i cały naród, wszystkie stopnie jego świadomości nigdy nie ginące, od drgnień i niejasnych poczuć ziemi i nocnych jej dreszczów aż do poezyi (którą te drgnienia są najbardziej), a która wszystko ogarnia.

St. Lack.

OD REDAKCYI.

Przesyłamy dziś przekazy tym którzy nie uiścili dotąd prenumeraty i prosimy o rychłe odnowienie jej na przyszły kwartał.

Zjednywanie nowych prenumeratorów i nadsełanie adresów dla rozsyłki numerów okazowych - są konieczne, aby utrwalić byt naszego pisma i usunąć coraz cięższe do zwalczania deficyty. Przypominamy to bardzo gorąco przyjaciołom „Nowego Słowa" i sprawy o którą walczymy.

Redakcya.

Redakcya „Nowego Słowa" i „Robotnicy" została przeniesioną na Rynek l. 13. — III piętro.